Kraków, 11-go stycznia 1914 r.

Rok 10 Nr. 1.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 2.

ZŁOTE IGŁY.

Nie było to ani wczoraj, ani pozawczoraj, ale dawno, bardzo dawno. W Bagdadzie, żył w ubogim i niskim domku biedny krawiec Aba. Z pracy rąk swoich utrzymywał on dzieci i dom cały, a robota szła ciężko i małe zyski przynosiła. Miał on trzech synów. Najstarszy, Ali, starał się niby to uczyć krawiectwa, próbował szyć, lecz że był leniwy i roztrzepany, niewiele pomagał ojcu. Dwaj młodsi, jeszcze nie mogli zajmować się pracą.

Tymczasem, niedostatek gnębił rodzinę krawca, a smutek gnieździł się w sercu poczciwego rzemieślnika.

Pewnego dnia, gdy Aba, pochyliwszy głowę, rozmyślał nad sposobem zaradzenia swej nędzy, otwarły się drzwi i wszedł jakiś podróżny w bogatem odzieniu.

— Panie majstrze, rzekł on uprzejmie, proszę mi naprawić płaszcz, oto jakiś tragarz rozdarł mi go przez nieuwagę.

Aba zajął się robotą, a nieznajomy rozglądawszy się po izbie mówił:

— Widzę, że jest u was niedostatek, bo nie macie pewnie złotych igieł; gdybyście je mieli, inaczej by się w domu działo.

— Złotych igieł? Ależ... nie słyszałem nic o nich.

— Jakto! zawołał nieznajomy, nie słyszeliście nic o tym sławnym krawcu, który cały dwór potężnego szacha perskiego w najpiękniejsze suknie odziewa?

— Więc on ma złote igły?

— A tak; temi igłami szyjąc, prędzej się robotę kończy.

Aba pokiwał głową i szepnął:

— Nie może to być prawda.

Na to powstał podróżny, a nie mówiąc ani słowa, zapłacił za robotę, ukłonił się i wyszedł.

Słyszał tę całą rozmowę Ali, najstarszy syn Aba i nie mógł myśli swej oderwać od złotych igieł.

— O! jakby to dobrze było mieć takie igły, mówił do rodziców. Nie potrzeba by mozolić się, pracować ciężko, ani znać, co to brak pieniędzy.

Aż wreszcie jednego dnia rzekł Ali:

— Dość namęczyłem się przy tym stole i dość sobie palców nakłułem, pojdę w świat, znajdę tego krawca i przyniosę złote igły.

Pożegnał się, wziął tłomoczek w rękę i wyszedł. Długa to była droga. W każdem mieście, w każdej wsi, pytał się Ali o krawca, co ma złote igły, ale ludzie śmiali się z niego i mieli go za waryata.

Ali myślał sobie:

— Pewnie to jest tajemnica i nikt o tem nie wie, a tak już nie wspominając o igłach złotych doszedł do miasta i odnalazł dom krawca monarchy perskiego. Dom był wspaniały. Wiele osób tam wchodziło lub wjeżdżało. Służba liczna stała w miejscu. Ubogi Ali czekał długo, zanim mógł stanąć przed panem. Wreszcie wszedł.

— Panie! słyszałem o twoich złotych igłach i przyszedłem o nie prosić, rzekł, trzęsąc się ze strachu, by nie otrzymał odmownej odpowiedzi.

Krawiec spojrzał na niego ze zdziwieniem, skąd on może o tem wiedzieć, a potem namyśliwszy się odpowiedział:

— Chętnie dam ci, czego pragniesz, ale musisz wiedzieć, że moje igły tylko dla tego pracują, kto umie bardzo dobrze szyć igłami zwykłemi. Ty jesteś jeszcze za młody, abyś mógł powiedzieć, że umiesz już doskonale, więc zostań u mnie na naukę. Jeśli przekonam się, że rzeczywiście umiesz i pilnie szyjesz, dam ci igłę złotą.

Ali zgodził się na to.

Młody krawiec oddał go na naukę staremu krawcowi pracującemu w osobnej izbie. Zabrał się Ali do roboty, lecz że był leniwcem w domu, został nim i tutaj. Stary krawiec upominał go, przestrzegał i prosił, aby pilnie szył, lecz to nie pomagało. Robota szła żółwim krokiem, a i niedbale była wykonywana.

Upłynęło trzy miesiące.

Wszedł wtedy krawiec do izby i pyta starca:

— Cóż? nauczył się czego?

— O panie! odrzekł staruszek, chłopak ten jest leniwy i niedbały, nie będzie z niego dobry pracownik.

Rozgniewał się krawiec szacha i rzekł:

— Jakto? ty chcesz mieć złote igły i spoczywać bez pracy, nie umiejąc samemu pracować? Pamiętaj dobrze, że szczęście tylko do tego się zbliża, kto pracuje i wytrwa w pracy. Próżniak nigdy szczęścia nie znajdzie Wracaj do domu i popraw się, inaczej nigdy ci dobrze nie będzie.

Biedny, odarty i głodny wrócił Ali do domu, a młody brat jego Szaba, który przez ten czas już pomagał ojcu nieco, zapragnął wybrać się po złote igły.

Gdy mu rodzice pozwolili, wyruszył w drogę, a według wskazówek brata szedł śmiało drogą przez niego opisaną.

Został u sławnego krawca tak samo przyjęty jak Ali i jak Ali rozpoczął praktykę. Dwa lata pracując, otrzymał poświadczenie od starca, że jest krawcem wybornym.

Wtedy Kaleb, krawiec szacha, wziął go z sobą do wspaniałego powozu i pojechał na wieś. Tam wysiedli przed ślicznym pałacykiem i weszli do wnętrza.

(Dokończenie nastąpi.)

Przy żłóbku.

W zimną i ciemną noc paśli raz mali pastuszkowie owieczki. Drzemią sobie spokojnie, jak to zwykle przy bydełku, gdy wtem o północy budzi ich niezwykła jasność i cudne śpiewy.

Patrzą, a to nad pobliską nędzną szopą świeci coś jakoby jakieś słońce ogromne, a w tem świetle widzą aniołów.

w bieluchnych, długich sukienkach, ze złotemi włoskami — i słyszą, jak aniołkowie ci śpiewają:

„Chwała na wysokości Bogu,
A na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

Zdziwili się i przelękli niemało pastuszkowie i nuż się naradzać, co też to być może. Wtem patrzą, a tu jeden anioł zbliża się do nich i tak mówi: „Nie się nie bójcie, ale idźcie czemprędziej do tej szopy — i pokłońcie się Dziecinie, która się tam narodziła“.

— Czy to król jaki, czy co — mówi jedem, a drugi mu odpowiada:

— Pocóż-by się to król w szopie rodził? Toż przecież każdy najbiedniejszy ma lepszy przytułek, jak ta stajnia.

A anioł tylko słucha tej rozmowy i tak powiada:

— W tej stajni urodził się król królów, Pan całego świata, większy, niż wszyscy cesarze i króle — urodził się sam Bóg! Idźcie mu się pokłonić!

Zerwali się mali pastuszkowie czemprędzej i do stajni pobiegli.

Przychodzą, patrzą, a tu w żłobie na sianie leży cudna dziecina i płacze. Płacze z zimna i chłodu, płacze, bo ostre siano rani delikatne ciałko. Przed żłóbkiem klęczy śliczna Panienka i też się łzy w Jej oczach kręcą, jak patrzy na to cierpienie swego ukochanego synka.

Pastuszkom żal się strasznie zrobiło tej ślicznej dzieciny i nuż pytać anioła który ich przyprowadził:

— Czemu ten Jezus tak cierpi jeszcze jako dziecko?

Anioł spuścił się na srebnych skrzydłach aż do stajenki i tak zaczyna mówić:

— Czemu cierpi? Bo bardzo kocha dzieci i chce im zostawić przykład ubóstwa, pokory, cichości. Chce, aby każde dziecko, widząc, jak malutki Jezus cierpi, nauczyło się znosić w milczeniu swoje przykrości i cierpienia. Chce nauczyć dzieci posłuszeństwa i uległości dla rodziców — pilności w pracy — i dlatego zgodził się znieść tyle bólu i cierpień.

I słuchają uważnie pastuszkowie, co im Anioł prawi, a gdy skończył, padają na kolana przed żłóbkiem i gorąco dziękują Panu Jezusowi za wszystko, co dla nich cierpiał.

Czyście kiedy pomyślały o tem wszystkiem, kochane dzieci?

Czy, patrząc na żłóbek, przyszło wam na myśl, że to **za was i dla was to ostre siano rani najświętsze ciało? Że dla was i za was płyną łezki z tych ślicznych ocząt?**

Oj, pewnie nie! — Pewnie, jak przyjdą Święta, myśli się tylko o tem, jak się zabawić, jakiego figla komu spłatać; a najmniej to się już myśli o tej Boskiej dziecinie!

Idźcie więc dziś za przykładem pastuszków. Pobiegnijcie do żłóbka, padnijcie na kolana i mówcie Dzieciątku Jezus, że Go bardzo kochacie, że zawsze będziecie dobre i grzeczne i że Go już nigdy — nigdy nie zasmucicie.

POCHWALONY.

Pochwalony w tej świetlicy!
Daj Bóg pożyć zdrowo.
Przyśli my tu kolędnicy
Z gwiazdą trzechkrólowa!
A jak tu są dobre dzieci,
Nad główkami im zaświeci,
A jak niema to się wróci,
Zaciemni się i zasmuci —
Gwiazda trzechkrólowa!

A ta gwiazda szła z daleka
Scieżynką po niebie,
Pamiątała, że ją czeka
Ziemia ta w potrzebie.
Pamiętała o tym dworze,
Przyniosła mu jasną zorzę,
Pamietała o tej chacie,
Przyniosła jej kołacz w szacie.
Gwiazda trzechkrólowa!

A my gwiazdę pozdrowili:
Zawitaj w jasności!
I do siebie zaprosili
Na kolędę w gości.

A tu i wróble zlatywać się poczęły. — Kiwi — kiwi —. ćwierkały.

— Jak się macie, łobuziaki, wy ulicznicy, cóżeście się tak spóźniły?... No, macie, to wszystko na dzisiaj, muszę już iść do szkoły. Do widzenia, kochane wróbelki! Do widzenia wam, słodkie moje gołąbki!

— Gru — gru — kiwi — kiwi — odpowiedziały ptaszki.

Marylcia zamknęła okienko, a gołąbki i wróbelki dojadały resztę chleba.

— Dobre śniadanie — pomyślały sobie — ale jeszczeby się zjadło.

Usiadły na dachu i zaglądają we wszystkie okna, czy gdzie okienko się nie otworzy.

Otworzyło się. Już ptaszki chciały zlecieć, gdy w oknie pokazała się zakurzona ścierka... Smutno było ptaszkom... a już ku południowi bardzo im się jeść chciało...

— Czy tam ludzie wcale nie jedzą? — myślały sobie. — Przecież odrobinki chleba są im niepotrzebne... Czyby nie wiedzieli, że my w zimie z głodu mrzemy?...

Dopiero po obiedzie Marysia znowu okienko otworzyła i znowu ptaszęta bułką poczęstowała.

Teraz wesołe ptaszki chodziły sobie po dachu i po podwórku, wołając: - gru — gru — kiwi — kiwi!

— Jedną tylko panienkę litościwą mamy w całej kamienicy, niech jej Bóg da zdrowie! — śpiewały ptaszki.

Na śniegu.

Bielią się pola, oj bielą,
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą,
Biała pustynia dokoła.

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny, brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Sterczą z pod zaspy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary.

Wiatr gałązkami pamiata,
Zgrzytają dębu konary,
Tylko świerk zawsze ponury
W tym samym żałobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się pełen spokoju.

Ptasi śpichlerz.

Wielu chłopców lubi ptaki, — ale pożal się Boże takiego lubienia! Wyszukać gniazdo, wybrać śliczne jajeczka, powybierać pisklęta i łby im poukręcać...

Nie takie było lubienie Bolka!

On najmniejszej krzywdy ptaszkom nie mógł wyrządzić. To też w sadzie Bolkowym ptactwa było mnóstwo: wilgi, szpaki, sikory, kowaliki, nie mówiąc już o trznadlach, ziębach, dzwońcach i wróblach.

W zimie Bolek robił klateczki i zawieszał je w miejscach zacisznych, pod strzechą, między gałęziami świerków i sosen, sypał tam codzień jadło i stawiał ciepłą wodę w kamiennych garnuszkach.

Znów wśród lata, gdy ptaki miały pożywienia wbród na każdym kroku, Bolek inną znalazł sobie robotę: oto przygotowywał dla swoich ulubieńców zapasy na zimę. Było to — jak nazywał — jego ptasie żniwo! Zbierał dojrzewające kwiaty i nasiona ostu, mokrzycy, świętojańskiego ziela, ścinał strączki wyczki ptasiej i innych groszków, których niebrak pośród zboża. Gdy zaczęła dojrzewać kalina i jarzębina, robił z nich wieńce i rozwieszał pod strzechą. W ten sposób, na strychu chaty Bolkowej, zrobił się prawdziwy spichlarz ptasi z nasion chwastów.

Przyjaciele Bolka, którym swój śpichlerz pokazywał, zaczęli go naśladować, a nawet mała sąsiadeczka, Marysia zabrała się do urządzenia takiego samego śpichrza ptasiego jak Bolek.

Jakie też wdzięczne będą im ptaszki przez zimę! A ile tych pożytecznych ulubieńców, przybędzie w sadach tych dobrych i rozumnych dzieci!

Poszła z nami sierotami,
Jaśniejąca promieniami,
Poszła z nami w tę gościnę,
Rzucająca blaski sine,
Gwiazda trzechkrólowa!

Gdzie zajdziemy, to zajdziemy,
Witają nas wszędy,
Ludzie radzi tej czaladzi,
Co śpiewa kolędy,
Idziem sobie polem, drogą,
W każdej chacie nas wspomogą,
A przed nami idzie zorza,
A nad nami jasność Boża,
Gwiazda trzechkrólowa!

W zimie.

W nocy zima zrobiła wielką niezpodziankę. Kiedy wszyscy ludzie spali, ubrała całe miejscowości w białą sukienkę. Płatki śniegu ułożyły się jedne na drugich i pozakrywały dachy domów, gałęzie drzew obsypały, a na gzymsach okien i na ziemi utworzyły się niby puszyste dywany.

Nad ranem nie słychać było wcale turkotu wozów, ani kopyt końskich.

Marysia obudziła się.

— Co to? Jakaś jasność...

Podniosła główkę, patrzy: jak ładnie na dworze!

Prędko zaczęła się ubierać i z rodzicami razem zasiadła do śniadania.

— Gru — gru... — wołały gołębie, chodząc po gzymsie okna — gru — gru — śpiewały, kręcąc łebkami.

— Jak się macie, ptaszęta drogie? Zaraz — nie myślcie, żem zapomniała o was.

Marynia prędko pobiegła po miotełkę, zebrała okruszynki, jeszcze kawałek chleba ukroiła, podrobiła na malutkie kawałeczki i przez okienko karmiła gołąbki.